



MARIO
PUZO

CZWARTY K

Rozdział 1

Oliver Oliphant miał już sto lat, lecz umysł niezwykle jasny. Na nieszczęście dla niego.

Był to umysł tak przenikliwy, a zarazem tak subtelny, że chociaż łamał wiele praw moralnych, dbał również o czystość sumienia swego właściciela. Umysł tak przebiegły, że Oliver Oliphant nigdy nie wpadał w omal niemożliwe do uniknięcia pułapki codziennego życia: nigdy się nie ożenił, nigdy nie zabiegał o żaden urząd polityczny i nigdy nie miał przyjaciela, któremu by ufał bez reszty.

I oto właśnie teraz, przebywając w swej wielkiej, doskonale strzeżonej i położonej na uboczu, acz oddalonej ledwie o dziesięć mil od Białego Domu posiadłości, Oliver Oliphant, najbogatszy człowiek w Ameryce i prawdopodobnie najbardziej wpływowa osoba prywatna tego kontynentu, oczekiwał przybycia swojego chrześniaka, Prokuratora Generalnego Stanów Zjednoczonych, Christiana Klee.

Czar osobisty Oliphanta równał się jego błyskotliwości. Natomiast jego potęgą wspierała się na obu tych talentach. I nawet teraz, gdy już osiągnął mocno zaawansowany wiek stu lat, jego rady były cenione tak dalece, iż wielu ludzi, skłonnych polegać na jego analitycznych zdolnościach, zwało go wprost Wyrocznią.

Jako doradca prezydentów Wyrocznia przepowiadał kryzysy ekonomiczne, wielkie krachy na Wall Street, spadki kursu dolara, odpływy kapitału zagranicznego czy oszalałe wahania cen ropy. Przepowiedział zarówno polityczny ferment w Związku Radzieckim, jak i nieoczekiwane wybuchy sympatii dotychczasowych rywali z Partii Republikańskiej i Demokratycznej. Lecz nade wszystko zgromadził dziesięć miliardów dolarów. Jest rzeczą naturalną, że rady tak bogatego człowieka musiały być cenione, choćby nawet były złe. Ale Wyrocznia prawie nigdy nie popełniał omyłek.

Lecz teraz, w Wielki Piątek, głównym zmartwieniem Wyroczni była jedna zasadnicza sprawa: przyjęcie urodzinowe gwoli uczczenia stu lat jego pobytu na ziemi. Przyjęcie mające się odbyć w Niedzielę Wielkanocną w Ogrodzie Różanym Białego Domu, którego gospodarzem miał być nie kto inny, jak tylko sam prezydent Stanów Zjednoczonych, Francis Xavier Kennedy.

Była to drobna próżność ze strony Wyroczni, fakt, iż owa spektakularna uroczystość sprawiała mu aż tak wiele radości. Na jedną krótką chwilę świat znów sobie o nim przypomniał. Lecz będzie to, pomyślał ze smutkiem, jego ostatnie pojawienie się na deskach sceny.

W Rzymie, w tenże sam Wielki Piątek, siedmiu terrorystów dokonywało ostatnich przygotowań do zamachu na papieża. Owa grupa — złożona z czterech mężczyzn i trzech kobiet — wierzyła, że stanowi rękojmię wyzwolenia ludzkości. Dlatego też jej członkowie nazwali samych siebie Chrystusami Przemocy.

Przywódcą tej jakże szczególnej grupy był młody Włoch, człowiek dobrze obeznany z praktyką terroryzmu. Z myślą o tej konkretnej operacji przyjął pseudonim Romeo. Zadawała to jego młodzieńcze poczucie ironii, sentymentalny charakter tego miana zaś osładzał mu wysublimowanie intelektualne umiłowanie ludzkości.

W Wielki Piątek, późnym popołudniem, Romeo odpoczywał w pewnym bezpiecznym schronieniu, które zapewniła mu Międzynarodówka Sto. Leżąc na zmiętych prześcieradłach, poplamionych popiołem z papierosów i wilgocią nocnego spotnienia, czytał kieszonkowe wydanie *Braci Karamazow*. Mięsień łydki ogarnął mu skurcz, spowodowany być może napięciem nerwowym, a być może zwyczajnym strachem. Nieważne. Sam przejdzie, tak jak zazwyczaj przechodził. Niemniej obecna misja była tak odmienna, tak bardzo skomplikowana i pociągała za sobą tak wiele niebezpieczeństw względem ciała i ducha! W tej akcji rzeczywiście będzie Chrystusem Przemocy. Owo miano wydało mu się nagle tak jezuickie, że przyprawiło go o wybuch śmiechu.

Romeo przyszedł na świat jako Armando Gangi, zrodzony z bogatych rodziców, przedstawiciele wyższych sfer, którzy poddali go rozlazłemu, luksusowemu i klerykalnemu systemowi wychowania, straszliwej kombinacji oddziaływań, które tak dalece raniły jego ascetyczną naturę, że w wieku szesnastu lat wyrzekł się wszelkich doczesnych dóbr oraz przynależności do Kościoła katolickiego. Toteż w wieku dwudziestu trzech lat, cóż mogłoby być dlań większym przejawem buntu niż zabicie papieża? A jednak Romeo nadal odczuwał przesądny lęk. Jako chłopiec był bierzmowany przez kardynała w czerwonym kapeluszu. Wciąż jeszcze pamiętał ten złowróźbny czerwony kapelusz, kapelusz tej samej barwy, co wszystkie ognie piekła.

Tak więc utwierdzony przez Boga w każdym z rytuałów, Romeo gotował się do popełnienia zbrodni tak strasznej, by setki milionów istot ludzkich przekleło jego imię, gdyż wówczas jego prawdziwe imię wychynie wreszcie z cienia. Albowiem zostanie pojmany. To właśnie było częścią planu. Lecz w swoim czasie on, Romeo, zostanie okrzyknięty bohaterem, który dopomógł zmienić istniejący okrutny porządek społeczny. To, co w jednym wieku zostało okrzyknięte infamią, w następnym będzie uznane za świętość. I na odwrót, pomyślał z uśmiechem. Pierwszy papież, który całe wieki temu przybrał imię Innocentego — a więc niewinnego — wydał bullę przyzwalającą na

tortury, toteż wielbiono go za propagowanie niezłomnej wiary w możliwość uratowania heretyckich dusz.

Młodzieńczemu poczuciu ironii Romea odpowiadało również to, że Kościół z całą pewnością wyniesie na ołtarze papieża, którego on zaplanował usunąć ze świata. A zatem to właśnie on stworzy nowego świętego. Jakże ich nienawidził, wszystkich tych papieży! Ten cały Innocenty, Pius, Benedykt! Och, stanowczo zbyt wielu spośród nich okrzyknięto świętymi, choć byli tylko zachłannymi na bogactwo ciemężycielami prawdziwej wiary i ludzkiej wolności, nadętymi szamanami zdolnymi dławić wszystkich nędzarzy świata magią swej ignorancji i odpowiadając głęboką pogardą na ich łatwowierność.

On, Romeo, jeden z Pierwszych Stu Chrystusów Przemocy, pomoże zetrzeć z powierzchni ziemi tę prymitywną magię. Wulgarnie nazywana bandą terrorystów, Pierwsza Setka obejmowała zasięgiem swych wpływów Japonię, Niemcy, Włochy, Hiszpanię, a nawet tulipanową Holandię. Warto zauważyć, że w Ameryce nie było żadnych przedstawicieli Pierwszej Setki. Bo tamta demokracja, tamto miejsce narodzin wolności, wydało na świat co najwyżej intelektualnych rewolucjonistów, którzy mdleli na widok krwi. Rewolucjonistów podkładających bomby w pustych budynkach, po uprzednim ostrzeżeniu ludzi, by je opuścili. Buntowników, którzy uznali, że publiczna kopulacja na schodach instytucji państwowych jest aktem idealistycznej rebelii. Jakże godni byli oni pogardy! Nic dziwnego, że Ameryka nie przysporzyła Pierwszej Setce ani jednego człowieka.

Romeo przerwał swe marzenia na jawie. Tam do licha, nie było ich nawet stu! Może ledwie pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu, gdyż tamta cyfra była czysto symboliczna. Jedynym faktem nieulegającym żadnej wątpliwości było po prostu to, że on, Romeo, należał do grupy Pierwszych Stu, podobnie jak jego przyjaciel i współkonspirator, Yabril.

W jednym z wielu kościołów Rzymu uderzono w dzwony. Dochodziła niemal szósta wieczór. Za godzinę przybędzie Yabril, żeby jeszcze raz sprawdzić cały mechanizm skom-

plikowanej operacji. Zabicie papieża będzie wstępnym ruchem wspaniale obmyślanej partii szachów, serii śmiałych aktów, które zachwyciły romantyczną duszę Romea.

Yabril był jedynym człowiekiem, który zdołał wzbudzić podziw Romea, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym. Yabril znał wszelkie matactwa rządów, hipokryzję legalnej władzy, zgubny optymizm idealistów, zadziwiające uchybienia pod względem lojalności u nawet najbardziej oddanych terrorystów. Lecz nade wszystko Yabril był geniuszem walki rewolucyjnej. Pogardzał wszelkimi drobnymi przejawami łaski i infantylnej litości, właściwymi dla większości ludzi. Miał tylko jeden cel: oswobodzenie przyszłości.

I Yabril był bardziej wyzbyty litości, niż to nawet Romeo mógł sobie wyobrazić. Romeo mordował niewinnych ludzi, zdradzał rodziców i przyjaciół, zabił sędziego, który pewnego razu udzielił mu ochrony. Romeo rozumiał, że zabójstwo polityczne może być rodzajem szaleństwa — i gotów był zapłacić tę cenę. Ale kiedy Yabril powiedział mu: „Jeżeli nie potrafisz wrzucić bomby do przedszkola, to nie będziesz prawdziwym rewolucjonistą”, Romeo odpowiedział: „Tak, chyba nigdy nie potrafię tego zrobić”.

Za to mógł zgładzić papieża.

Niemniej podczas ostatnich ciemnych rzymskich nocy, potwornie małe monstra, zaledwie płody snów, okryły ciało Romea sączonym z lodu potem.

Romeo westchnął, zsunął się ze swego brudnego barłogu, aby wziąć prysznic i ogolić się, nim przybędzie Yabril. Wiedział, że Yabril oceni jego czystość jako dobry znak, znak, iż morale grupy w obliczu nadchodzącej akcji jest wysokie. Yabril, tak jak i wielu jemu podobnych, wierzył w znaczenie niewielkiej choćby dozy przepychu i blasku. Romeo, prawdziwy asceta, mógł żyć nawet w łąnie.

Krocząc przez ulice Rzymu wprost do kryjówki Romea, Yabril nie zaniechał swych zwykłych środków ostrożności.

Lecz tak naprawdę wszystko opierało się raczej na wewnętrznym poczuciu lojalności kadr bojowników, na uczciwości Pierwszych Stu. Choć oni — podobnie zresztą jak i Romeo — nie znali prawdziwego zasięgu swojej misji.

Yabril był Arabem, który bez trudu mógł uchodzić za Sycylijczyka, podobnie jak spora część jego ziomeków. Miał szczupłą, ciemną twarz, lecz dolna jej część, broda oraz szczęka, były zadziwiająco masywne i grube, jak gdyby natura wyposażyła je w dodatkową warstwę kości. Toteż zapuszczał jedwabiste runo brody, by ukryć ową masywność. Lecz kiedy przydzielano go do jakiejś operacji, golił się starannie. Bo jako Anioł Śmierci ukazywał wrogowi swą prawdziwą twarz.

Oczy Yabрила były bladobrązowe, we włosach miał tylko pojedyncze pasma siwizny, a ociążałość szczęki powtarzała się w potężnej budowie klatki piersiowej i barków. Nogi — w stosunku do tułowia — miał bardzo długie. Maskowały one dość skutecznie zawartą w swych mięśniach moc. Nic jednak nie było w stanie ukryć bystrej inteligencji jego oczu.

Yabril nie znosił ideologii Pierwszych Stu. Uważał ją za modną sztuczkę reklamową, pogardał jej formalnym wyrzeczeniem się posiadania dóbr materialnych. Ci kształceni na uniwersytetach rewolucjoniści, tacy jak Romeo, byli zbyt romantyczni w swym idealizmie, zbyt niechętni kompromisowi. Yabril rozumiał, że odrobina zepsucia w zaczynie rewolucji jest rzeczą konieczną.

Już dawno temu porzucił całą moralną próżność. Miał czyste sumienie, właściwe ludziom, którzy wierzą i wiedzą, iż całą swą duszę poświęcają ludzkości. I nigdy nie robił sobie wyrzutów, jeżeli dokonywał czegoś z myślą o własnym, prywatnym interesie. Zawierał często umowy z szejkami naftowymi, którzy pragnęli się pozbyć swych politycznych rywali. Dokonywał sporadycznych morderstw na zamówienie nowo kreowanych głów państw afrykańskich, owych polityków, którzy — choć wykształceni w Oksfordzie — nie pozbyli się jeszcze swych starych nawyków. Nie stronił też od aktów terroru na rzecz przeróżnych szacownych przywódców politycznych, tych,

którzy posiadli już wszystko na świecie, z wyjątkiem władzy nad życiem i śmiercią.

Owe poczynania nigdy nie dotarły do świadomości Pierwszych Stu. Rzecz jasna, nie zwierzał się też z tych spraw Romeowi. Brał honoraria od holenderskich, angielskich i amerykańskich towarzystw naftowych, pieniądze od rosyjskiego i japońskiego wywiadu, a nawet — już bardzo dawno temu — przyjął również zapłatę od amerykańskiej CIA za niezwykle delikatną, tajną misję skrytobójczą. Ale wszystko to zdarzyło się już dawno, kiedy był jeszcze znacznie młodszy.

Teraz żył całkiem dostatnio i wcale nie był ascetą. W końcu nacierpiał się kiedyś biedy, choć nie urodził się biedakiem. Lubił dobre wino i wyszukane potrawy, sypiał w luksusowych hotelach, cenił sobie hazard i często ulegał ekstazie zmysłowych zespoleń z kobietą. Zwykł za to płacić pieniędzmi, podarunkami lub też jedynie osobistym czarem. Bał się natomiast miłości romantycznej.

Mimo tych „rewolucyjnych słabostek” Yabril słynął w swych kręgach z niezwyklej siły woli. Nie odczuwał żadnego lęku przed śmiercią, co dało się jeszcze zrozumieć, a nadto — rzecz szczególna — nie bał się wcale bólu. I może z tego powodu był taki bezwzględny.

Wykazał się w ciągu lat. Nie sposób go było złamać żadnym rodzajem fizycznej czy psychicznej perswazji. Przeżył więzienie w Grecji, Francji i Rosji, a także dwa miesiące przesłuchań prowadzonych przez izraelskie służby bezpieczeństwa, których znajomość rzeczy wzbudziła jego podziw. Wytrzymał być może dlatego, iż jego ciało, dręczone nazbyt długo, broniło się w końcu utratą czucia. W końcu wszyscy to zrozumieli: pod wpływem bólu Yabril zamieniał się w granit.

Kiedy sam więził innych, często oczarowywał swoje ofiary. Fakt, że sam wyczuwał w sobie pewne szaleństwo, był częścią jego czaru, a nadto częścią lęku, jaki wywoływał. A może rzecz tkwiła w tym, że w jego okrucieństwach brak było złośliwości? Ogólnie rzecz biorąc, umiał cieszyć się życiem, był radosnym terrorystą. Nawet teraz radował się wonią Rzymu

i wielkopiątkowym zmierzchem, wypełnionym biciem niezliczonych dzwonów. A przecież przygotowywał najbardziej niebezpieczną akcję swego życia.

Wszystko było na swoim miejscu. Sekcja Romea. Bo grupa dowodzona przez Yabrila miała przyjechać do Rzymu dopiero następnego dnia. Obie sekcje miały się znajdować w oddzielnych kryjówkach, a łączność między nimi winni stanowić jedynie ich dwaj przywódcy. Yabril wierzył, iż jest to wielka chwila. Ta nadchodząca Niedziela Wielkanocna — a także dalsze dni — wejdą bowiem w skład wielkiego cyklu tworzenia.

On, Yabril, pchnie narody drogami, po których dotąd nie ośmielały się nawet stapać. Odrzuci zwierchność wszystkich swych mrocznych panów — staną się oni teraz zaledwie jego pionkami — i poświęci ich wszystkich, nawet biednego Romea. Jedynie śmierć lub nerwy mogą pokrzyżować jego plany. Lub, by być bliższym prawdy, jeden z setki możliwych błędów w trudnej rachubie czasu. Lecz cała operacja była tak skomplikowana i tak pomysłowa, że aż sprawiała mu radość. Przystanął na chwilę, by móc się rozkoszować pięknem katedralnych wież, widokiem uszczęśliwionych twarzy mieszkańców Rzymu i swymi melodramatycznymi spekulacjami na temat przyszłości.

Ale jak wszyscy ludzie, którzy sądzą, że potrafią zmienić bieg historii jedynie za sprawą swej własnej woli, własnej inteligencji i siły, Yabril nie przykładął godziwej wagi do przypadków i zbiegów wydarzeń dziejowych ani też do prawdopodobieństwa, że mogą istnieć ludzie jeszcze groźniejsi od niego. Ludzie wychowani wewnątrz sztywnych struktur społecznych, strojni w maski dobrotliwych twórców prawa, a jednak daleko bardziej bezwzględni i okrutni.

Podczas gdy obserwował na ulicach Rzymu pobożnych i radosnych pielgrzymów, ufnych we wszechmoc Boga, przepełniało go poczucie własnej niezwyciężoności. On — najzwyczajniej wykroczy poza zasięg przebaczenia ich Boga, gdyż w najodleglejszych kresach zła musi się z konieczności zaczynać dobro.

Yabril znajdował się teraz w jednej z najuboższych dzielnic Rzymu, gdzie łatwiej było ludzi zastraszyć lub przekupić. Kiedy

dotarł do kryjówki Romea, zapadł właśnie zmierzch. Stara czteropiętrowa kamienica miała duże podwórko, przegrodzone w połowie kamiennym murem. Wszystkie tutejsze mieszkania kontrolowały organa podziemnego ruchu rewolucyjnego. Yabrila wpuściła jedna z trzech kobiet-członkiń sekcji Romea. Była chuda, ubrana w dżinsy i niebieską drelichową koszulę, rozpiętą niemal aż do pasa. Nie nosiła stanika, ale nie sposób było dopatrzeć się jakiegokolwiek krągłości jej piersi. Brała już przedtem udział w jednej z operacji Yabrila. Nie lubił jej, ale podziwiał jej zawziętość. Stał się z nią kiedyś w kłótni, lecz ona nie zmieniła zdania.

Kobieta nosiła imię Annee. Kruczoczarne włosy przycięte miała na pazia, co być może schlebiało jej twarzy o silnych, topornych rysach, ale zarazem zwracało uwagę na płomienne oczy, które mierzyły każdego — nawet Romea i Yabrila — z przedziwną jakąś furią. Nie pouczono jej jeszcze w pełni co do zadań misji, lecz samo pojawienie się Yabrila uświadomiło jej, że będzie to rzecz najwyższej wagi. Uśmiechnęła się bez słowa, a następnie zamknęła drzwi, gdy tylko Yabril wszedł do środka.

Yabril zauważył z obrzydzeniem, że wewnątrz domu stało się dziwnie plugawe. Brudne naczynia i szklanki, resztki jedzenia rozrzucone w living-roomie, podłoga zasłana gazetami. Sekcja Romea składała się z czterech mężczyzn i trzech kobiet; wszyscy byli Włochami. Kobiety odmawiały sprzątaniam; wykonywanie domowych prac w czasie akcji było sprzeczne z ich rewolucyjną wiarą, chyba że mężczyźni zechcieliby dzielić z nimi wszystkie te obowiązki. Mężczyźni, studenci uniwersytetu, ludzie wciąż jeszcze młodzi, podzielali wprawdzie ową wiarę w prawa kobiet, lecz byli też skądinąd ukochanymi synkami swoich włoskich matek, a ponadto wiedzieli, że sekcje posiłkowe oczyszczą przecież dom z wszelkich kompromitujących śladów. Milczące porozumienie zasadzało się na tym, iż brud miano ignorować. Drażnił on co najwyżej Yabrila.

Powiedział więc do Annee: „Ależ z was świnię”. Annee spojrziała nań z chłodną pogardą.

— Nie jestem pomocą domową — odrzekła.

I Yabril od razu rozpoznał jej klasę. Nie bała się go, tak samo zresztą, jak żadnego innego mężczyzny czy kobiety. Ona po prostu wierzyła. I całkiem chętnie spłonęłaby na stosie.

Romeo zbiegł po schodach z położonego wyżej mieszkania — taki przystojny i taki pełen werwy, że Annee aż opuściła wzrok — i objął Yabrila z prawdziwą czułością, a następnie zaprowadził go na podwórko, gdzie przysiedli na małej kamiennej ławce. Nocne powietrze przesycone było wonią wiosennych kwiatów; dobiegał ich też stłumiony gwar, echo głosów niezliczonych tysięcy pielgrzymów, rozmawiających i podnoszących wrzawę na ulicach wielkopostnego Rzymu. Ponad tym wznosił się, to znów opadał łoskot setek kościelnych dzwonów, obwieszczających zbliżanie się Niedzieli Wielkanocnej.

Romeo zapalił papierosa i powiedział:

— Nasz czas w końcu nadszedł, Yabrilu. I obojętne, co się teraz stanie, nasze imiona nie pójdą w zapomnienie.

Yabrila rozśmieszył patos tej wypowiedzi. Poczul lekką pogardę dla pragnienia czczej osobistej chwały.

— Okryjemy się niesławą — odparł. — Stajemy bowiem w szranki z długą historią terroru. — Myślał o ich uścisku. Tym rutynowym geście uczucia z jego strony, podszytym jednak pamięcią o akcie terroru. Czuli się teraz niby dwaj mordercy, stojący nad zwłokami wspólnie zamordowanego ojca.

Wzdłuż murów podwórka paliły się słabe lampy elektryczne, niemniej twarze ich obu skrywała nadal ciemność. Romeo powiedział:

— O wszystkim dowiedzą się z czasem. Ale czy docenią nasze motywy? Czy też odmalują nas jako szaleńców? Tam do diabła! Poeci przyszłości z pewnością nas zrozumieją!

— Nie możemy się tym teraz aż tak bardzo martwić — odrzekł po chwili Yabril. Wprawiało go w zakłopotanie, ilekroć Romeo stawał się teatralny; to sprawiało, iż kwestionował przydatność swego towarzysza, jakkolwiek ów dowiódł jej już wiele razy. Romeo, pomimo delikatnych urodziwych rysów

i naiwności swych poglądów, potrafił być naprawdę niebezpieczny. Jednak istniała między nimi podstawowa różnica: Romeo był człowiekiem w zbyt dużym stopniu pozbawionym strachu, natomiast Yabril — być może zbyt przebiegłym.

Zaledwie rok temu szli razem przez ulice Bejrutu. Na ich drodze znalazła się nagle brązowa papierowa torba, pozornie pusta, poznaczona plamami tłuszczu od jedzenia, które wcześniej się w niej znajdowało. Yabril obszedł ją. Natomiast Romeo kopnął i stracił do rynsztoka. Dwa odmienne instynkty. Yabril wierzył, że wszystko na tej ziemi jest niebezpieczne. Natomiast Romeo odnosił się do wszystkiego z naiwną ufnością.

Różnic tych było więcej. Yabril był brzydki, miał małe, brązowe paciorkowate oczy. Romeo — w zasadzie piękny. Yabril był dumny ze swej brzydoty, Romeo zaś — wstydził się swojej urody. Yabril rozumiał, że kiedy niewinny młody człowiek oddaje się bez reszty rewolucji, musi to w końcu prowadzić do morderstwa. Romeo doszedł do tego przekonania dopiero niedawno, a uczynił to nad wyraz niechętnie. Jego nawrócenie miało charakter czysto intelektualny.

Romeo odnosił erotyczne zwycięstwa za sprawą swej fizycznej urody, natomiast pieniądze jego rodziny chroniły go przed ekonomicznymi upokorzeniami. Był na tyle inteligentny, by wiedzieć, że jego powodzenie nie jest moralnie właściwe, toteż samo dobro jego życia napawało go odrazą. Zatopił się w literaturze i studiach, co utwierdziło go jeszcze w stosownych poglądach. Było rzeczą nieuchronną, iż da się przekonać swym radykalnym profesorom, że powinien dopomóc w uczynieniu tego świata znacznie lepszym.

Nie chciał być taki jak ojciec, nie chciał być Włochem, który spędza więcej czasu u fryzjera niż u płatnej miłości. Nie chciał też trawić życia na pogoni za pięknymi kobietami. Przede wszystkim nigdy nie będzie trwonił pieniędzy zroszonych potem biedaków. Biednych trzeba uczynić wolnymi i szczęśliwymi, a wówczas i on będzie mógł zakosztować szczęścia. I tak oto sięgnął po swą Drugą Komunię, do książek Karola Marksa.

Nawrócenie się Yabrila było, zda się, bardziej dogłębne. Jako dziecko żył w Palestynie niczym w raju. Był szczęśliwym, niezwykle inteligentnym chłopcem, przy tym nad wyraz posłusznym rodzicom — zwłaszcza ojcu, który co dnia spędzał z nim godzinę na lekturze *Koranu*.

Jego rodzina mieszkała w dużej willi, nader zasobnej w służbę, położonej na rozległym terenie, baśniowo wprost zielonym na tle pustynnych połaci reszty kraju. Ale pewnego dnia, kiedy Yabril miał ledwie pięć lat, wygnano go z owych rajskich rozłogów. Jego ukochani rodzice gdzieś zniknęli, a willa i ogrody rozplynęły się w chmurze fioletowego dymu. I oto nagle zamieszkał w małej brudnej wiosce u stóp wzgórza, jako sierota na łasce krewnych. Jego jedynym skarbem był *Koran* ojca, drukowany na welinie, pełen złotonych zdobień oraz inicjałów na błękitnym tle. Pamiętał doskonale, iż ojciec odczytywał na głos wszelkie nakazy muzułmańskiego zakonu. Były to prawdy od Boga, przekazane prorokowi Mahometowi, słowa na temat których nie można dyskutować ani się z nimi spierać. Już jako dorosły mężczyzna, Yabril zwrócił uwagę swemu żydowskiemu przyjacielowi: „Co *Koran*, to nie *Tora*”. I obaj się roześmiali.

Prawda o wygnaniu z Edenu została mu wyjawiona prawie od razu, ale pojął ją w pełni dopiero w kilka lat później. Jego ojciec wspierał potajemnie ruch wyzwolenia Palestyny spod władzy państwa Izrael; był przywódcą podziemia. Padł ofiarą zdrady i zginął podczas akcji policyjnej, a matka popełniła samobójstwo, kiedy Izraelczycy wysadzili w powietrze willę i przyległe ogrody.

Dla Yabrila fakt przystania do terrorystów był rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem. Jego krewniacy i nauczyciele z miejscowej szkoły nauczyli go nienawidzić wszystkich Żydów, choć nie udało im się to w pełni. Znienawidził jednak również swego Boga. Za to, że wygnał go z raju dzieciństwa. Kiedy miał osiemnaście lat, sprzedał *Koran* swego ojca za znaczną sumę i zapisał się na uniwersytet w Bejrucie. Tam większą część swej fortuny wydał na kobiety i w końcu, po dwóch latach, został członkiem podziemnych sił wyzwolenia

Palestyny. I z biegiem lat stał się śmiercionośną bronią tej sprawy. Ale wolność jego ludu nie była dlań celem ostatecznym. W jakiś sposób cała jego działalność przekształciła się w poszukiwanie wewnętrznego spokoju.

Teraz, gdy tak siedzieli razem na podwórku domu-kryjówki, omówienie każdego szczegółu misji zabrało Romeowi i Yabrilowi ponad dwie godziny. Romeo palił bez przerwy. Denerwował się jedną rzeczą.

— Czy aby jesteś pewny, że mnie wydadzą? — pytał.

Yabril odrzekł łagodnie:

— Jakżeż mogą tego nie zrobić, przetrzymując takiego zakładnika? Wierz mi, w ich rękach będziesz bezpieczniejszy, niż ja w Sherhabenie.

Uścisnęli się nawzajem w ciemności, czyniąc to po raz ostatni. Bowiem ta Wielkanoc miała ich już rozłączyć na zawsze.

W tenże sam Wielki Piątek prezydent Francis Xavier Kennedy spotkał się ze swoim zespołem głównych doradców i wiceprezydentem, aby przekazać im wiadomość, która — jak wiedział — unieszczęśliwi ich.

Spotkał się z nimi w Żółtym Pokoju Owalnym Białego Domu, swoim ulubionym pomieszczeniu, większym i wygodniejszym niż słynny Gabinet Owalny. Ów Żółty Pokój sprawiał raczej wrażenie salonu i było tam znacznie poręczniej pić angielską herbatę.

Kiedy ochrona wprowadziła prezydenta do pokoju, Kennedy ruchem ręki nakazał swemu zespołowi zająć miejsca, każąc zarazem ochronie wyjść i czekać na zewnątrz. Podczas trwania tej scenki zirytowały go dwie rzeczy. Pierwszą z nich było to, że zgodnie z protokołem musiał osobiście rozkazać ludziom z Secret Service, ażeby wyszli z pokoju, a drugą — fakt, iż wiceprezydent musiał również powstać na znak szacunku dla

jego urzędu. Drażniło go to dlatego, że wiceprezydent była kobietą, a kurtuazja polityczna okazała się nagle czymś nadzędnym w stosunku do kurtuazji towarzyskiej. Ponadto wiceprezydent, Helen Du Pray, była odeń o dziesięć lat starsza, niemniej prezentowała się jeszcze wcale dobrze, będąc zarazem kobietą niezwykle wyrobioną towarzysko i inteligentną. Było to, rzecz jasna, powodem, dla którego wybrał ją sobie za współtowarzyszkę w wyborach, mimo oporu twardogłowych z Partii Demokratycznej.

— Do licha, Helen — powiedział Francis Kennedy. — Przestań wreszcie wstawać, gdy wchodzę do pokoju. Teraz będę musiał nalać wam wszystkim herbaty, aby móc udowodnić moją skromność.

— Chciałam po prostu wyrazić swą wdzięczność — powiedziała Helen Du Pray. — Myślałam, że wezwałeś wiceprezydenta na spotkanie swojego zespołu, bo przecież ktoś będzie musiał pozmywać naczynia. — Oboje roześmiali się. Lecz cała reszta nie.

Romeo wypalił ostatniego papierosa, siedząc wśród mroków podwórka. Ponad kamiennymi murami mógł widzieć kopuły wielkich katedr Rzymu. Potem wrócił do środka. Nadszedł czas, by poinstruować ludzi z sekcji.

Annee pełniła funkcję zbrojmistrza, toteż otworzyła kluczem ogromny kufer, by rozdać broń i amunicję. Jeden z mężczyzn rozpostarł na podłodze salonu brudne prześcieradło, na którym Annee ułożyła smar i szmaty. Będą czyścić i oliwić broń, słuchając zarazem instrukcji. Słuchali tak godzinami, zadając jednocześnie pytania i analizując wszystkie swe przyszłe kroki. Annee wydała im stroje bojowe. Żartowali sobie z nich. W końcu zasiedli razem do posiłku, który przygotował Romeo i pozostali mężczyźni. Młodym wiosennym winem wzniesli toast za powodzenie akcji, a potem paru z nich grało przez godzinę w karty, nim w końcu udali się do swoich pokoi. Nie było potrzeby trzymać straży; byli bezpiecznie zamknięci, a obok

łóżek mieli swoją broń. Lecz mimo to wszyscy mieli kłopoty z zaśnięciem.

Było już po północy, kiedy Annee zapukała do drzwi Romea. Romeo czytał. Wpuścił ją, a ona czym prędzej rzuciła jego egzemplarz *Braci Karamazow* na podłogę. Zapytała niemal z pogardą:

— Znowu czytasz to gównno?

Romeo wzruszył ramionami, uśmiechając się.

— Facet mnie bawi. Jego postaci przypominają mi Włochów, którzy bardzo starają się być poważni.

Rozebrali się szybko i położyli na zbrukanych prześcieradłach, oboje na wznak. Ich ciała były napięte, nie tyle wskutek seksualnego podniecenia, co raczej za sprawą jakiejś tajemniczej grozy. Romeo wpatrywał się prosto w sufit, natomiast Annee zamknęła oczy. Leżała po jego lewej stronie, toteż użyła swej prawej ręki, aby powoli i łagodnie drażnić jego członek. Ich ramiona prawie się nie stykały, a ciała były całkiem oddalone. Kiedy poczuła, że Romeo doznał wzwodu, nadal pieściła go prawą ręką, sama zarazem onanizując się lewą. Był to ciągły powolny rytm, w trakcie którego Romeo wyciągnął nieśmiało rękę, by dotknąć jej drobnej piersi, lecz ona skrzywiła się niczym dziecko i mocno zacisnęła powieki. Teraz jej ruchy stały się silniejsze i bardziej namolne, a pieszczoty nerwowe i jakby mniej rytmiczne, póki Romeo nie doznał orgazmu. Kiedy nasienie bryznęło Annee na dłoń, ona również osiągnęła szczyt napięcia, rozwarła oczy, a jej drobne ciało zdawało się niemal wzbijać w powietrze, unosząc się i zwracając do Romea, jak gdyby chciała go pocałować, ale w ostatniej chwili uchyliła głowę i tylko na moment wtuliła twarz w jego pierś, póki jej ciało nie opadło, dygocąc. Potem usiadła i rzeczowo wytarła rękę o brudne prześcieradło. Następnie wzięła papierosy i zapalniczkę Romea z marmurowego blatu nocnego stolika, po czym głęboko zaciągnęła się dymem.

Romeo poszedł do łazienki i zwilżył ręcznik. Wrócił, przetarł jej dłonie, a potem obmył sam siebie. Później podał jej ręcznik i Annee wytarła sobie krocze.

Robili to już kiedyś przed jakąś inną akcją i Romeo rozumiał, że jest to jedyny rodzaj manifestacji uczucia, na jaki ona może sobie pozwolić. Była tak zagorzałą wielbicielką swej niezależności, iż nie mogłaby znieść, aby mężczyzna, którego nie kochała, mógł wnikać w głąb jej trzewi. A co się tyczy *fellatio* lub *cunnilingus*, które on sugerował, były one dla niej jedynie inną formą poddania się i zależności. To, co zrobiła, było jedynym sposobem, w jaki mogła zaspokoić swe żądze, nie zdradzając zarazem wyznawanych przez siebie ideałów niezależności.

Romeo obserwował jej twarz. Nie była już teraz aż tak bardzo surowa, a żar tłący się w jej oczach jak gdyby nieco przygasł. Jest jeszcze taka młoda, pomyślał. Jakże więc mogła stać się w tak krótkim czasie prawdziwym aniołem zagłady?

— Czy chcesz spać ze mną dziś w nocy, ale tylko dla towarzystwa? — zapytał.

Annee zdusiła papierosa.

— Och, nie — powiedziała. — Dlaczegoż miałabym chcieć? Oboje mamy już to, czego nam było potrzeba.

Zaczęła się ubierać.

— Mogłabyś przynajmniej powiedzieć coś czułego, zanim stąd wyjdiesz — stwierdził żartobliwie Romeo.

Na chwilę stanęła w drzwiach, a potem odwróciła się nagle. Przez moment sądził, że wróci do łóżka. Uśmiechała się i po raz pierwszy ujrzał w niej młodą dziewczynę, którą byłby w stanie pokochać. Lecz już niebawem Annee wspięła się na palce i powiedziała:

— Romeo, Romeo, gdzie jesteś, Romeo? — Zagrała mu na nosie i zniknęła.

W Brigham Young University, w Provo w stanie Utah, dwóch studentów, David Jatney i Cryder Cole, przygotowywali swój ekwipunek do odbywającego się raz w semestrze morderczego polowania. Zabawa ta znów wróciła do łask, wraz z wyborem

Francisa Xaviera Kennedy'ego na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Według zasad gry, dwóch studentów miało dwadzieścia cztery godziny na dokonanie zabójstwa — to znaczy na wystrzelenie z zabawkowych pistoletów do kartonowego wizerunku prezydenta Stanów Zjednoczonych z odległości nie większej niż pięć kroków. Zapobiegać ich akcji miało bractwo obrony, stworzone w celu przestrzegania prawa i porządku, liczące ponad stu studentów. Wygrana ze „zwycięskiego zakładu” miała zostać zużyta na opłacenie bankietu kończącego polowanie.

Profesorowie i administracja college'u, będący pod wpływem Kościoła mormońskiego, nie pochwalali tych zabaw, ale stały się one popularne w całych Stanach Zjednoczonych — dostarczając przykładu denerwujących ekscesów, właściwych dla przedstawicieli wolnego społeczeństwa. Zły smak i upodobanie do prostactwa — stały się częścią składową zabaw młodych ludzi. Tego rodzaju igraszki stanowiły jednak wentyl bezpieczeństwa dla niechęci wobec władzy, formę protestu tych, którzy jeszcze niczego nie osiągnęli, względem tych, którzy zdołali już odnieść sukces. Był to protest czysto symboliczny, jednakże z pewnością lepszy od demonstracji politycznych, sporadycznych wybuchów przemocy i strajków. Zabawa w polowanie stanowiła więc godziwy zawór dla burzących się hormonów.

Dwaj myśliwi, David Jatney i Cryder Cole, przechadzali się ręką w rękę po kampusie. Jatney był pianistą, a Cole aktorem, dlatego Cole mówił, a Jatney przytakiwał, kiedy zmierzali ku grupie członków bractwa, pilnujących wizerunku prezydenta. Tekturowa postać bardzo przypominała Francisa Kennedy'ego, niemniej była ekstrawagancko pokolorowana, toteż prezydent miał na sobie niebieski garnitur, zielony krawat i czerwone skarpetki, za to nie nosił butów. Tam gdzie powinien mieć buty, widniała rzymska cyfra IV.

Grupa stróżów prawa i porządku postraszyła Jatneya i Cole'a swoimi dziecięcymi pistoletami, toteż obaj myśliwi musieli zboczyć z drogi. Cole wykrzyknął jakąś żartobliwą obelgę, ale

Jatney miał ponury wyraz twarzy. Bardzo poważnie podchodził do swojej misji. Jatney raz jeszcze prześledził w myślach swój mistrzowski plan i już w tej chwili odczuwał dziwą satysfakcję z powodu jego gwarantowanego powodzenia. Ów spacer na oczach wroga miał za zadanie pokazać, że obaj mieli na sobie narciarskie stroje; miał ponadto określić ich wizualną tożsamość i przygotować zebranych na późniejszą niespodziankę. A także ugruntować przeświadczenie, że obaj opuszczają campus, udając się na weekend.

Zasady gry w polowanie wymagały, by opublikowano trasę podróży wizerunku prezydenta. Wizerunek miał być obecny na bankiecie, który zaplanowano jeszcze na ten wieczór przed północą. Jatney i Cole zamierzali dokonać uderzenia tuż przed upływem ostatecznego terminu, czyli o północy.

Wszystko poszło tak, jak było zaplanowane. Jatney i Cole spotkali się ponownie o szóstej po południu w umówionej restauracji. Właściciel nic nie wiedział o ich planach. Byli po prostu dwoma studentami, którzy pracowali dla niego przez ostatnie dwa tygodnie. Okazali się bardzo dobrymi kelnerami, zwłaszcza Cole, toteż był nimi zachwycony.

O dziewiątej tego wieczoru, kiedy strażnicy prawa i porządku, w sile stu osób, weszli do restauracji wraz z wizerunkiem prezydenta, ustawiono tam strażę przy wszystkich wejściach. Wizerunek został umieszczony pośród kręgu stołów. Właściciel zacierał ręce, ciesząc się ze spodziewanych dużych obrotów, i dopiero kiedy wszedł do kuchni i ujrzał, że jego dwaj młodzi kelnerzy chowają zabawkowe pistolety do waz na zupę, zrozumiał wreszcie, o co chodzi.

— Och, na litość boską! — wykrzyknął. — To znaczy, że wy dwaj rzucacie dzisiaj pracę?

Cole uśmiechnął się do niego szeroko, ale David Jatney rzucił mu groźne spojrzenie. Obaj weszli do sali jadalnej, z wazami na zupę trzymanymi na tyle wysoko, by zasłaniały im twarze.

Strażnicy wznosili właśnie triumfalne toasty, kiedy Jatney i Cole ustawili wazy na środkowym stole, zdjęli z nich

pokrywy i wyciągnęli swe pistolety. Przystawili lufy do kiczowato pokolorowanej postaci i oddali niezbyt głośne strzały. Cole wystrzelił tylko raz i natychmiast wybuchnął śmiechem. Jatney, mierząc powoli, oddał aż trzy strzały, a następnie rzucił pistolet na podłogę. Nie poruszył się ani nie uśmiechnął, póki strażnicy nie otoczyli go, gratulując i klnąc, i póki wszyscy nie siedli do obiadu. Jatney kopnął wizerunek tak, że prezydent osunął się na podłogę, gdzie wcale nie było go widać.

Było to jedno ze zwykłych polowań. W innych college'ach w całym kraju zabawa ta bywała znacznie bardziej skomplikowana. Wznoszono przemyślnie konstrukcje zabezpieczające, wizerunki pluły syntetyczną krwią, i tak dalej.

W Waszyngtonie D.C., Prokurator Generalny Stanów Zjednoczonych, Christian Klee, miał swoją własną kartotekę zabawowych morderców. I właśnie teraz fotografie i dane dotyczące Jatneya i Cole'a zwróciły jego uwagę. Zrobił więc notatkę, by wydzielono ekipę dochodzeniową, która mogłaby zbadać życiorysy Davida Jatneya i Crydera Cole'a.

W piątek przed Wielkanocą, dwaj młodzi poważni ludzie przyjechali z Instytutu Technologicznego w Massachusetts do Nowego Jorku, składając małą walizkę w schowku bagażowym budynku Zarządu Portu. Ze wstrętem omijali gromadki pijanych bezdomnych włóczęgów, bystrookich alfonsów i kurew, które wystawały po hallach budynku. Obaj byli geniuszami: w wieku dwudziestu lat zostali już docentami fizyki i uczestnikami zaawansowanego programu badań uniwersyteckich. Walizka zawierała maleńką bombę atomową, którą skonstruowali, używając kradzionych materiałów laboratoryjnych oraz niezbędного tlenu plutonu. Kradzież tych materiałów z laboratoriów zabrała im aż dwa lata. Musieli to robić stopniowo, fałszując raporty i sprawozdania z doświadczeń, tak aby nie zauważono braku.

Adam Gresse i Henry Tibbot zostali uznani za geniuszów,

ledwie tylko skończyli dwanaście lat. Rodzice wychowali ich tak, by byli świadomi swej odpowiedzialności względem reszty świata. Nie mieli żadnych wad, z wyjątkiem ogromnej wiedzy. Ich szczególna inteligencja sprawiała, iż pogardzali wszystkimi tymi nałogami, które niczym rak toczyły tkankę ludzkości, nosząc nazwy alkoholizmu, hazardu, prostytucji, obżarstwa i narkomanii.

Oni sami ulegali jedynie przemożnemu narkotykowi precyzyjnego myślenia. Posiadali instynkt sprawiedliwości społecznej i dostrzegali zło nagromadzone na świecie. Wiedzieli, iż produkowanie broni atomowej jest rzeczą ze wszech miar złą i że los ludzkości zawisł wskutek tego na włosku. Postanowili zatem zrobić, co tylko się da, aby odwrócić piekielną katastrofę. Tak więc po roku iście chłopięcych dyskusji, postanowili doświadczyć rząd. Dowiodą, jak łatwo jest jednostce-szaleńcowi zadać ludzkości nader poważne straty. Skonstruowali maleńką bombę atomową, o mocy zaledwie pół kilotony, tak aby można ją było umieścić w dowolnym miejscu, a potem powiadomić o jej istnieniu władze. Uważali siebie i swój zamierzony czyn za coś jedyne w swoim rodzaju, coś niemalże boskiego. Nie wiedzieli, że dokładnie właśnie taka sytuacja zostanie przewidziana w psychologicznych raportach prestiżowego banku myśli, ufundowanego przez rząd, gdzie potraktowano rzecz jako jedno z możliwych zagrożeń ery atomowej.

Po paru godzinach spędzonych w Nowym Jorku Adam Gresse i Henry Tibbot wysłali ostrzegawczy list do „New York Timesa”, wyjaśniając motywy swojego działania i prosząc, aby ów apel został opublikowany przed doręczeniem go władzom. Redagowanie listu trwało bardzo długo, i to nie tylko dlatego, iż musiał on zawierać niezwykle precyzyjne sformułowania, ażeby nikt nie doszukał się w nim żadnej złej intencji, ale również dlatego, że posłużyli się techniką wycinania nożyczkami z gazet słów i liter, które później naklejali na czyste kartki papieru.

Bomba nie wybuchnie do następnego czwartku. Do tej pory

list znajdzie się w rękach władz i wówczas urządzenie zostanie z pewnością znalezione. Winno to być ostrzeżeniem dla władców świata.

A w Rzymie, właśnie w ów Wielki Piątek, Theresa Catherine Kennedy, córka prezydenta Stanów Zjednoczonych, sposobila się do zakończenia narzuconego sobie przez siebie samą europejskiego wygnania i powrotu do Białego Domu, do ojca.

Przydzielony jej oddział Secret Service zakończył już wszystkie przygotowania do podróży. Posłuszni jej zaleceniom agencji zarezerwowali nawet bilet na lot w Niedzielę Wielkanocną z Rzymu do Nowego Jorku.

Theresa Kennedy miała dwadzieścia trzy lata i studiowała w Europie filozofię, wpieryw na Sorbonie, a następnie na uniwersytecie w Rzymie, gdzie właśnie przerwała dość długo już trwający romans z pewnym włoskim studentem, młodym radykałem, co nastąpiło ku ich obopólnej uldze.

Kochała swego ojca, ale nienawidziła faktu, iż jest on prezydentem, bo była zbyt lojalna, by publicznie dać wyraz swym własnym, odmiennym poglądom. Wierzyła kiedyś w socjalizm; teraz stała się zwolenniczką braterstwa ludzi i siostrzanych związków pomiędzy kobietami. Była feministką w amerykańskim stylu; niezależność ekonomiczna winna stanowić fundament wolności, toteż nie odczuwała żadnego kompleksu winy w związku z funduszami powierniczymi, które gwarantowały jej wolność.

W poczuciu dziwnych, niemniej bardzo ludzkich przekonań moralnych odrzuciła jakąkolwiek myśl o przywilejach i odowiedziała swego ojca w Białym Domu. A może podświadomie obwinała go o śmierć matki, albowiem ubiegał się on o władzę polityczną, podczas gdy jego żona umierała? Potem chciała zagubić się gdzieś w Europie, ale na mocy prawa musiała być chroniona przez Secret Service, jako członek najbliższej rodziny prezydenta. Próbowwała zrezygnować z tej ochrony, lecz ojciec ubłagał ją, by tego nie robiła. Francis Kennedy powiedział, że nie zniósłby nawet myśli o tym, aby miało jej się coś przydarzyć.

Oddział dwudziestu ludzi, podzielony na trzy zmiany, przez całą dobę strzegł Theresy Kennedy. Kiedy szła do restauracji lub kiedy wybierała się ze swym chłopcem do kina, goryle już tam byli. Wynajmowali mieszkania w tym samym budynku, używali furgonetki jako punktu dowodzenia. Nigdy nie była sama. Ponadto każdego dnia musiała przekazywać swój harmonogram zajęć dowódcy oddziału.

Jej strażnicy byli zaiste dwugłowymi potworami: na wpół sługami, na poły jej władcami. Za pomocą skomplikowanych urządzeń elektronicznych mogli wsłuchiwać się w odgłosy miłości, ilekroć tylko sprowadzała mężczyznę do mieszkania. Byli wprost przerażający — poruszali się niczym wilki, sunęli bezszelestnie, węsząc przy tym czujnie, czy aby nie złapią tropu, ale w istocie wyteżali głównie słuch, wzmocniony przez radiowe urządzenia odbiorcze.

Theresa nie zgodziła się na bezpośrednią ochronę. Sama prowadziła swój wóz, nie pozwoliła, by ludzie z obstawy wynajęli sąsiednie mieszkanie, nie zgodziła się również, by wokół niej kręcili się stale goryle. Nalegała na to, by agenci stosowali „ochronę na dystans”, tworząc wokół niej strefę zaporową, przywodzącą na myśl jakby rozległy ogród. W ten sposób mogła prowadzić nieco bardziej swobodne życie osobiste. Układ ten doprowadził do kilku kłopotliwych momentów. Pewnego dnia poszła na zakupy i potrzebowała drobnych na rozmowę telefoniczną. Wydało jej się, że zobaczyła jednego ze swoich goryli, który udawał, że kupuje coś w pobliżu. Podeszła więc doń i zapytała: „Czy możesz mi dać ćwierć dolara?”. Mężczyzna popatrzył na nią zaszokowany, a ona zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, że facet nie był członkiem jej obstawy. Wybuchnęła śmiechem i przeprosiła go. Mężczyzna również bardzo się ucieszył i był zachwycony. Wręczył jej ćwierćdolarówkę. „Wszystko dla Kennedych” — oświadczył żartobliwie.

Podobnie jak wielu młodych ludzi, Theresa Kennedy wierzyła — nie poszukując nawet specjalnych dowodów — że ludzie są „dobrzy”. Wierzyła zresztą także, że i ona sama jest dobra. Uczestniczyła w marszach protestacyjnych, przemawiała na

rzecz sprawiedliwości i przeciwko krzywdzie. W życiu codziennym starała się nigdy nie popełniać żadnych drobnych świnstw. Jeszcze jako dziecko, oddała zawartość swojej skarbonki na fundusz Indian amerykańskich.

Była jednak w dość niezręcznej sytuacji, kiedy jako córka prezydenta Stanów Zjednoczonych przemawiała na rzecz aktywistów opowiadających się za możliwością dokonywania aborcji i gdy popierała swym nazwiskiem radykalne lewicowe organizacje. Dość łatwo znosiła zniewagi mass mediów i obelgi ze strony przeciwników politycznych.

W jakiś niewinny sposób starała się być uczciwa we wszystkich swych romansach; wierzyła w absolutną szczerłość i nie znosiła oszustwa.

W czasie lat spędzonych za granicą przeżyła parę incydentów, z których powinna była wynieść cenną naukę. W Paryżu, gdy wałęsała się po mieście w poszukiwaniu kolorytu lokalnego, próbowała ją zgwałcić grupa kloszardów mieszkających pod jednym z mostów. W Rzymie, kiedy dawała jałmużnę, dwóch żebraków usiłowało wyrwać jej torebkę i w obu tych przypadkach uratowała ją czujna grupa Secret Service. Ale nie zmieniło to w niczym jej ogólnej wiary, że ludzie są dobrzy. Każda ludzka istota skrywa bowiem w swej duszy nieśmiertelne ziarno dobroci, a łaska odkupienia dotyczy wszystkich w jednakowym stopniu. Jako feministka słyszała oczywiście o tyranii mężczyzn, lecz nie rozumiała w pełni owej brutalnej siły, jaką stosowali mężczyźni, rozstrzygając sprawy swego własnego świata. Nie miała nawet pojęcia, do jak fałszywych i okrutnych sposobów może uciec się człowiek, zdradzając drugiego człowieka.

Szef obstawy, mężczyzna już nazbyt leciwy, by powierzano mu ochronę ważniejszych ludzi z rządu, był przerażony jej naiwnością i próbował ją w jakiś sposób doksztalcić. Opowiadał jej potworne historie o przeróżnych zajściach, z jakimi miał do czynienia w czasie swej wieloletniej służby; był wobec niej bardziej szczerzy, niż zdarzało mu się to zazwyczaj, albowiem ochrona Theresy stanowiła jego ostatnie zadanie przed pójściem na emeryturę.